

[illegible] REDAKCJI.
[illegible]IWIŃSKI: *Stronnictwa polityczne w Galicji.*
W. FELDMAN: *Przed nowym egzaminem dziejowym.*
A. STRUG: *Mogiłka.*
Dr. A. LISIEWICZ: *Nasz sejm.*
K: *O budowę dróg wodnych.*
Z TYGODNIA.
DEDYKACJA.

ROCZNIK I. ZESZYT I.
DNIA 1. PAŹDZIERNIKA 1910 R.

Wydawcy:
[illegible]. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedź.: JULJUSZ ŁOPATKA.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 15. ::

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ"
(„KURJERA LWOWSKIEGO") LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31,
KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".



ŻYCIE



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

OD REDAKCJI.



Dopóki serce Polski — Królestwo było przywalone głazem potwornego ucisku, można się było łudzić, że pod tym przeklętym kamieniem tli się mnóstwo zapału, utajonej energji, uczuć społecznych, talentów politycznych, które się nagromadziły w biegu lat i leżą skrycie, jak mina w katakumbach niewoli, by przy lada sposobności wybuchnąć. Gdy jednak zawierucha dziejowa zruszyła ten kamień, gdy uchyliło się wieko grobowe, ujawniła się straszna tajemnica: z trumny zamiast zastępu mężnych, ofiarnych i rozumnych obywateli kraju — wynurzył się z prawej strony chochoł z wiechą pawich piór — a z lewej wątłe szkielety organizacyjne, które okazały się za słabe, by nadać odpowiedni pion ciążącym ku nim tłumom. Niezdolne do stworzenia silnego, spoistego stronnictwa rewolucyjnego, zwichnęły się same pod naciskiem ciemnych mas oraz krzykliwych demagogów i cały ruch przybrał wreszcie postać bezkształtną, poleciał po linji najmniejszego oporu; zamiast walki o prawa polityczne, jak najenergiczniejszego wysiłku w celu wyjarzmienia narodu, pochylił się niemal całkowicie w stronę walki czysto ekonomicznej i to nieraz nie tylko z kapitałem, ale z osobą poszczególnego fabrykanta. Słowem nikt nie stanął na wysokości zadania. Pokazało się, że analfabetyzmowi z dołu, w literalnym znaczeniu tego wyrazu, towarzyszy analfabetyzm polityczno-społeczny wierzchnich warstw narodu, tak zw. społeczeństwa, że byliśmy zupełnie nieprzygotowani do wypadków, które nas zaskoczyły znienacka, żeśmy skarleli w niewoli i struliśmy się sami przez wyrzeczenie się, w myśl programu zarówno ugodowców, jak postępowych zwolenników tak zwanej „pracy organicznej“, dawnych wolnościowych aspiracji i wielkich ideałów demokratycznych.

I jeżeli w dobie znamiennych wypadków wyglądaliśmy jako ci, co „potracili rozum w mękach długich“, dziś, nie zyskawszy wiele pod tym względem, dołączamy do tej straty nową szkodę — plwania na siebie, żarcia jedni drugich i zamętu pojęć.

Wszystkie powyższe ujemne objawy, świadczące o silnym wyjałowieniu społeczeństwa z myśli politycznej, które przy świetle rewolucji w Królestwie przybrały niezwykle ostre kontury,

dają się zauważyć na całym obszarze Polski. W Poznańskiem panuje zastój blizki martwoty, zdrętwienie pod tym względem. — Całą uwagę społeczną pochłania wzmaganie sił ekonomicznych, niewątpliwie korzystnych jako środek, ale nie jako cel sam w sobie. W znajdującej się w najpomyślniejszych warunkach rozwoju Galicji, którąby mogła być Piemontem Polski, wązkość tchu, działalność na krótką metę, zaściankowość, brak szerszych, sięgających poza czarno-żółte słupy graniczne horyzontów i niezwykła deprawacja moralna — karjerowiczostwo cechuje najwpływowsze stronnictwa, wiodące zajadły bój o miejsce przy żłobie władzy. Tymczasem mnożą się symptomaty zarówno wewnątrz nas, jak poza nami, świadczące, że mocno przygasła po roku 63-cim sprawa Polski zaczyna się rozżarzać i może wcześniej, niż przypuszczamy, stać się zagadnieniem palącym.

I w owym doniosłym momencie, śród różnorodnych możliwości, najpomyślniejsze rozwiązanie sprawy naszej będzie zależało w wysokim stopniu od tego, czem my sami będziemy w krytycznej chwili: czy rozproszoną zgrają bezmyślnych rozbitków, przypadkowym często i mechanicznym zlepkiem idących na oślep za najprzenikliwszym wrzaskiem mętnych żywiołów, czy zorganizowaną, świadomą celów i miary sił własnych armią, złożoną z różnobarwnych chorągwi, maszerujących z powodu różnic zapatrywań oddzielnie, ale szturmujących solidarnie wszelkie twierdze i forty, zawadzające zdobyciu ram normalnego rozwoju, rozszerzeniu terenu swego życia. By nie powtórzyć starych błędów, musimy przygotowywać się zawczasu, odzyskiwać na gwałt wypruty zmysł i myśl polityczną, świadomy stosunek do zjawisk społecznych, jasny i krytyczny pogląd na dobę obecną, głębokie i wszechstronne zrozumienie swej sytuacji, by znaleźć ogólną linję orjentacyjną dla przyszłych działań. W tem wyrabianiu się, w tej pracy niezmiernej wagi dla narodu podbitego, zagrożonego w swoim istnieniu — i tem pilniejszej, że w tej dziedzinie zaniedbaliśmy się najwięcej — wielką rolę odgrywa prasa, której atmosferą oddychamy bezwiednie. — Prasa nie kształci wprawdzie gruntownie, często nie rozstrzyga nawet kwestji, ale je stawia, nadaje im kurs, zwraca uwagę ogółu w pewnym kierunku, stwarza opinje i informuje.

Jako stała pobudka o szerokim zakresie brzmienia, prasa zmusza i przyzwyczaja do zastanawiania się nad zagadnieniami, które wysuwa, do przejmowania się ideami, którymi tętni.

Ale perjodyczne piśmiennictwo w Galicji składa się albo ze zwykłych przedsiębiorstw finansowych, które jedynie liczba prenumeratorów obchodzi, albo z wydawnictw ściśle partyjnych, które z natury rzeczy wyrażają pewne tylko opinie, puszczają w obieg towary swej jedynie marki. Niezależnego organu dla niezawisłej myśli polskiej, szybującej swobodnie, wolnej od strychulca dyscypliny partyjnej, niema.

Tymczasem niezbędna jest krytyka i rewizja kursujących pojęć i poglądów, ustalenie i przywrócenie właściwej treści takim nadużytym i sponiewieranym dziś wyrazom, jak patryjotyzm, socjalizm, postęp, ewolucja, rewolucja i t. p., odbudowanie mostu ideowego łączącego pokolenia, nawiązanie nici zerwanej z ideałami Wielkiej Demokracji polskiej po 31-ym roku, gdzie ogólno - ludzkie tendencje zindywidualizowały się narodowo i w konsekwentnym rozwinięciu prowadzą do nowożytnych zasad sprawiedliwości społecznej. Praca ta nie może być zależną od dyrektyw stronnictwa, myśl bowiem powinna rozwijać się całkiem swobodnie, nie licząc się z hamującymi względami dyscypliny partyjnej.

Dla takiej myśli jasnej i bezstronnej nic i nikt nie może być przedmiotem stałej, zaprzysiężonej adoracji, lub apriorystycznego potępienia. W dobie, kiedy rozżarcie partyjne wyzwoliło mnóstwo najniższych instynktów, kiedy oszczerstwo, kłamstwo, potwarz, wyklinanie z obrębu narodu stało się uprawnionym środkiem walki stronniczej, uczciwe sumienie winno całą mocą przeciwdziałać tym objawom duchowego zdziczenia, by przywrócić godność słowu i rozbudzić znieczuloną na tych punktach opinię publiczną. Pracę, zmierzającą do podźwignięcia Ojczyzny, musi poprzedzać praca niepodległej myśli, ostatnią bowiem instancją, rozstrzygającą o istotnym walorze wszelkich przeobrażeń polityczno-społecznych, jest wewnętrzna wartość człowieka. Ta upadła u nas i zubożała — podnosić ją i wzbogacać należy.

Oto są ogólne wytyczne programowych zadań Tygodnika „Życie“, który chce stać się redutą postępowej myśli polskiej, placówką, zawsze ważną, a w obecnej chwili ogólnej apatji, depresji i dezorjentacji niemal niezbędną.

Pismo nasze, nie będąc oficjalną ekspozyturą żadnego stronnictwa, zyskuje możność i prawo podnieść zasługę lub wytknąć błąd każdemu. Samo się również do popełnionej omyłki przyzna zawsze, powodując się nie miłością własną, ale miłością uczciwej sprawy, której służyć zamierza.

Sądzimy, że spełnilibyśmy tylko część naszego zadania, gdybyśmy działali jedynie w sferze rozwoju twórczych idei, bujając górnie nad potokiem realnego życia. By wzrastać zdrowo i piąć się wciąż wyżej, musimy tkwić głęboko korzeniami w ziemi, zwracać pilną uwagę na zagadnienia chwili bieżącej. Omawiając z natury rzeczy najobszerniej sprawy lokalne, jako najbliższe, nie będziemy zaniedbywali pozostałych zaborów, kierując się w ocenie zjawisk nie interesem poszczególnej

prowincji, ale interesem ogółu Polski, której dzielnice w umysłach i sercach naszych zrastają się w jedną równie bliską i gorąco odczuwaną Ojczyznę.

Cały akt polityczno - społecznej wiary naszej da się streścić w trzech przykazaniach, wyrytych płomieniem narodowego gienjuszu:

„Pielgrzymie polski, byłeś bogaty; a oto cierpisz ubóstwo i nędzę, abyś poznał, co jest ubóstwo i nędza, a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: ubodzy i nędzarze współdziedzicami moimi są.

Pielgrzymie, stanowiłeś prawa i miałeś prawo do korony, a oto na cudzej ziemi wyjęty jesteś z pod opieki prawa, abyś poznał bezprawie, a gdy wrócisz do kraju, abyś wyrzekł: Cudzoziemcy razem ze mną współprawodawcami są.

Pielgrzymie, byłeś uczony, a oto nauki, któreś cenił, stały ci się nieużyteczne, a te, któreś lekceważył, cenisz teraz, abyś poznał co jest nauka świata tego, a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: Prostaczkowie współuczniami mymi są“.

Tę tablicę wyjętą z wieszczej świątyni będziemy się starali cal po calu wmurowywać w duszę narodu, by gdy wróci do własnej ojczyzny, ołtarz swojego życia na niej postawił.

Za ołtarz ten walczyć będziemy z całym impetem, u jego stopni trzymać wartę czujną i nieustanną, w przeświadczeniu, że gdy pośniemy znużeni, zmienią nas liczniejsze i lepsze pokolenia.

Pragnąc „z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe“, rozsyłamy ten pierwszy zeszyt na podobieństwo owych zapalonych wici, którymi w prastarych czasach zwoływano na wojnę, gdy wroga moc wtargnęła w granice rodzinnych osiedli po łup z mienia, lub — co gorsze — z duszy.

Wiemy, że mnogie szeregi, obozy i bandy staną przeciw nam, że niewielu zaciągnie się pod sztandar „Życia“.

Ale dziś o pospolite ruszenie wcale nie chodzi — a jedynie o legjon szlachetnych, dzielnych i walecznych ludzi, o zwarcie w jeden zastęp przedniej straży kształtującego się na wielką miarę rzetelnego demokratyzmu, o szerokim rozmachu i czynnej energji śmiałego Postępu.



H. ŚLIWIŃSKI.

STRONNICTWA POLITYCZNE W GALICJI.

Pięć lat mija bezmała od momentu, brzemiennego w doniosłe następstwa dla monarchii habsburskiej, w którym „największy w państwie socjalista“ — takie miano dostało się cesarzowi Franciszkowi Józefowi z ust naszych feudałów — w zrozumieniu i pod naciskiem wewnętrznej i zewnętrznej sytuacji „królestw i krajów reprezentowanych w Radzie Państwa“, odjął żywiołom konserwatywnym skołatany ster rządów i oddał go w ręce reprezentantów ludu. Naturalną spadkobierczynią władztwa, wysuwającego się z rąk szlacheckich, była w Galicji Demokracja Polska. Miała ona za sobą rozwój wiekowy, wielką puściznę ideową po bohaterach myśli polskiej i polskiego czynu, począwszy od Kołłątaja i Sułkowskiego, od Mochnackiego i Konarskiego; moment przełomowy zastał ją przecież zdezorjentowaną, zdezorganizowaną, niezdolną do wielkiej politycznej roli. Polskiemu wielkorządcy Galicji wydała się czemś nieobliczalnym i niepewnym. Wysoki rozum polityczny Andrzeja Potockiego nakazywał mu jednak liczyć się z koniecznościami, szukać oparcia w nowych czynnikach politycznych. Stąd popieranie i forytowanie efemerydy o świetnych pozorach, t. zw. demokracji narodowej, która znowu, w przeświadczeniu, że w Polsce całej ten co w Prusiech wiatr ustalić się musi, zabiegła drogę życzeniom namiestnika, ochoczo się przedzierzgnęła w stronnictwo rządowe. Tak stanął dzięki stosunkom i obliczeniom Potockiego sojusz z demokracją narodową, niestały i nie na długą możliwy metę.

Dorwało się więc stronnictwo demokratyczno-narodowe, przedewszystkiem zaś jego menerzy, do wpływów znacznych, roli doniosłej, zgoła nie odpowiadającej ani politycznemu wyrobieniu stronnictwa, ani jego kulturze, najmniej już zaś ideowej jego wartości. Po demokracji polskiej doby powstaniowej wzięła t. zw. demokracja narodowa głównie to, co przylgnęło jako plama do niektórych grup radykalnych wychodźctwa: a więc zaślepienie fakcyjne, marną zawiść ku wszystkiemu, co nie z własnego wyszło kramiku, sporo przy tem prywaty i sobkowstwa. Rzut myśli w przeszłość ukaże nam wierny konterfekt Endecji tam, gdzie najmniej moglibyśmy tego się spodziewać, wśród tylekroć przez nią za radykalizm poniewieranych republikanckich sekciarzy. „Nie było śród ówczesnych *jakobinów* polskich — brzmi surowy sąd historji — ani jednego wyższej miary człowieka; były dwa tylko gatunki ludzi: dusze gorące, a głowy słabe, szczerze kochający sprawę narodu i postępu, gotowi służyć jej z poświęceniem, lecz dobrze nieświadomi, jak służyć, ograniczeni, często niepoczytalni poczciwcy, — oraz prowadzący ich suggestyjnie na pasku warchoły, dyszący ambicją, zarozumieniem, zawiścią mściwą, lub chciwą żądzą załatwienia swoich porachunków domowych lub interesów pod pokrywką zbawienia ojczyzny, prześladowcy

i denuncjanci wszelkiego istotnego talentu i zasługi nietylko przed własnym społeczeństwem, lecz również przed obcym rządem, choćby z największą krzywdą dla narodu, byle tylko utrzymać w garści wyłączny monopol prawdziwego patryjotyzmu, prawdziwych dążeń narodowych i demokratycznych, a tym samym monopol władzy nad nieszczęsną rzeczą publiczną. Kto tylko stawał im po drodze jako możliwy konkurent do tej władzy, niechajby najbardziej uprawniony, najczystszy, największy, miał w nich wrogów śmiertelnych; i poprostu nie jest do wiary niesłychana i nieubłagana nienawiść, z jaką ci rzekomi narodowcy czy to zniesławiali i podkopywali publicznie, czy też poufnie między sobą opluwali jadem najwyższych przedstawicieli i obrońców narodu..." (Askenazego „Łukasiński" I. 187—8). Tu urywa się analogia. Przy mnogich grzechach, tamci „jakobini" nieśli gromadnie życie w ofierze Sprawie, wytrzymywali nieraz tortury więzienne, swoim kosztem formowali pułki powstańcze. Dziś, niezbrojne sekciarstwo nacjonalistyczne nie rycerskim było zakonem, ale raczej klasztorem, sprzedającym likiery swego świątobliwego wyrobu, czymś w rodzaju biednych kartuzów, wyganianych przez republikańską Francję.

Więc z dojściem Endecji do przewodniej roli w kraju począł się odrazu rozkład jej moralny, szerzyć się w niej poczęła demagogja i polityczny nierząd, aż w chwili, gdy zaślepieni pychą jej przywódcy sięgnąć chcieli po samą batutę rządu krajowego lub udział w rządzie centralnym, ta sama ręka, która ich wydobyła poprzednio z nicości, strąciła ich teraz ze ścieżek, wiodących na szczyty znaczenia i władzy.

Obok demokracji, reprezentującej przeważnie inteligencję i mieszczaństwo, stał w walce o reformę wyborczą radykalny obóz ludowy, w którym hetmańską dzierżył buławę istotny rządca dusz chłopskich, niedawno czerwony trybun ludowy, grożący wybrukowaniem ulic czaszkami szlacheckimi — poseł Stapiński. Zląkł się on rosnącej przewagi arendarzy tych „dóbr narodowych", do których sam miał pretensje; wypowiedział leaderom ND-cji śmiertelną walkę; wreszcie, zwątpiwszy o zwycięstwie, wiedziony instynktem samozachowawczym, celem salwowania utylitarnych interesów małych agrarjuszy, wszedł z jednej strony w sojusze z konserwatywnymi „wielkimi rolnikami", z drugiej zaś ze zwalczanym dotąd polskim przedstawicielem rządu wiedeńskiego, ministrem Bilińskim. To, co w czasie wyborów do parlamentu było chwilowym, cichym, dającym się usprawiedliwić, kompromisem, podyktowanym przez chęć ratowania i wzmocnienia stronnictwa, teraz, pod gwałtownym najazdem demokratyczno-narodowych zaborców, na skutek zwłaszcza ich zajadłej i bezprzykładnej nagonki na zniszczenie Banku parcelacyjnego, stało się zupełną apostazją względem dawnej politycznej wiary i wszystkiego tego, co było ideową treścią obozu ludowców i samego ich przywódcy.

Socjalna demokracja polska w Galicji, z samego założenia opierając się przeważnie na klasie robotniczej, stanowiącej niewielki ułamek ludności kraju, osłabiona była nadto przebytą zwycięzką walką o powszechne prawo wyborcze; ziszczenie najbliższego postulatu osłabiło jej rozpęd bojowy, pociągnęło za sobą pewien brak rąk i ducha. We Wiedniu zlało się przedstawicielstwo socjalistów polskich z przedstawicielstwem ogólno-austryjackiej socjalnej demokracji, działając w wyodrębnieniu od reszty polskich posłów; odeszło do parlamentu to, co było sercem i tętnem partji tej w kraju, a w kraju rola zaczęła zalegać odłogiem. Aż do ostatnich dni nie zdobył się ruch robotniczy na silniejsze wystąpienia w walce o reformę wyborczą do sejmu i gminy; nie rozwinęła się również dość silnie najdonioślejsza akcja nad podniesieniem ekonomicznym i moralnym mas robotniczych przez instytucje zawodowe, kulturalne i współdzielcze. A jest grunt podatny pod uprawę, czego dowiódł potężny, podyktowany zrozumieniem i odczuciem doniosłości chwili, udział robotników, zrzeszonych pod sztandarem socjalistycznym, w uroczystościach grunwaldzkich, dowód nowy, a dobitny, że robotnik nasz zdolny jest do czysto ideowych porywów i że czynny chce mieć udział w sprawach swego narodu.

Ostatni czynnik, grający rolę w naszym społeczeństwie galicyjskim, spadkobierczyni bezpośrednia puścizny ideowej po wielkiej Emigracji, partja Romanowiczów, Szczepanowskich, Rotterów, Rutowskich, oszołomiona najazdem pojęć, ulakierowanych na kolor amarantowo-biały, nie umiała przeciwstawić inwazji owej swego własnego oblicza; wydało się, że zbyteczna już teraz, istnieć przestała jako zastęp, ideą własną związany, że dla jej wyznawców jest miejsce w narodowej, lub też w socjalnej demokracji; w istocie żywiołom mniej wyrobionym ideowo groziło pochłonięcie przez NDecję, najgorętsze rzucić się mogły w szeregi socjalistyczne, ogół pogrążał się w zupełną apatję i polityczną bierność.

Tak było wczoraj. Dziś odwróciła się karta. Ekscelencja Bobrzyński, niepospolicie zręczny polityk, jeszcze zawsze pełnomocnik panów krakowskich, uznawszy, że rozkład NDecji dostateczne poczynił postępy, przewidując nadto chwilę, w której telefon p. Bienertha każe ukarać Koło polskie za niegrzeczne znalezienie się wobec centralizmu wiedeńskiego nowymi wyborami, postanowił radykalnie się na ten wypadek asekurować. Zaczęło się wyławianie ze stronnictwa demokratyczno-narodowego jednostek słabszych, o najbledszym amarantowym pokoście, jak poseł German, jednostek nadpsutych, jak różni „adwokaci krajowego przemysłu", uzupełnianie tych zbiegów innymi siłami, na tęższą zakrojonymi miarę, jak poseł Leo; zaczęło się tworzenie nowego stronnictwa, rzekomo czysto utylitarnego, finansowego, ekonomicznego. Propagowana przez posła Germana nazwa „zrzeszenia" czy „zjednoczenia demokratycznego" chyba nie będzie mogła się przyjąć; zbyt jawnie przypominałaby ona „święte rzymskie cesarstwo" nie będące ani świętym, ani cesarstwem, ani rzymskim; na miejscu byłaby chyba w Rzplitej babińskiej, za panowania dowcipnego pana Pszonki. Będzie to raczej, pod tą, czy inną nazwą, t. zw. „stronnictwo pozytywnej pracy" na wzór węgierski, podające rękę rządowi z jednej, konserwatystom i inkamerowanym chłopom-stapińszczykom z drugiej strony. Co w Galicji jest pozytywną pracą poza wyborami, to wszyscy wiemy.

Tym zachowawczym czynnikom, składającym się na groźną potęgę, przeciwstawiają się trzy stronnictwa: rozbita, osłabiona NDecja, raczej

już, po oderwaniu się zwolenników „Rzeczypospolitej“ i po obecnej secesji, grupa prof. Grabskiego; dalej ideowa demokracja polska; wreszcie socjaliści.

Grupa Grabskiego usiłuje utrzymać się na powierzchni, uderzając nadal w „tam—tam“ szowinistyczny, grając na nienawiściach narodowościowych, zakorzenionych w ród inteligencji i mieszczaństwa. Lecz demagogja antyrusińska zaczyna zawodzić. Pod naciskiem z góry, warstwy urzędnicze masowo porzucają stronnictwo. Więc szuka NDecja nowego narzędzia demagogicznej propagandy, przygotowuje drogę do zwrotu w kierunku klerykalnym, spodziewając się zresztą, że niebawem klerykalizm wszechwładnym będzie w państwie. W druku wyraża się to, jako udzielanie admonicji Canalejasowi za jego farmazoństwo; w czynie jako podniesienie ks. Stojałowskiego na stanowisko jednego z głównych leaderów stronnictwa, odpuszczenie mu i współpracownictwa w „Warszawskom Dniewnikie“ i wszelkich innych rublowych poborów, pasowanie na prawego patryjotę i demokratę. Jest to znamienne z innych jeszcze względów dla dzisiejszej NDecji: terenem właściwym jej działania staje się wieś zachodnio-galicyjska. Z tą chwilą partja wszechpolska przyjmuje charakter agrarny; opuszcza miasta i usiłuje oprzeć się o element bardziej jej odpowiadający. Radykalizujący się stary wyga demagogji ks. Stojałowski, wraz z klerykalizującym się p. Grabskim, wypełnić chcą stanowiska, przez Stapińskiego porzucone. Dzisiejszy główny sternik ndeckiej nawy niedarmo bowiem przeszedł szkołę socjalistyczną, niedarmo apostołował na łamach londyńskiego „Przedświtu“ związek nieodzowny między rewolucją zbrojną, a przewrotem agrarnym. Spragniony wielkiej roli politycznej, człowiek ambicji nieposkromionej i silnej ręki, stoi dziś u kresu swych marzeń: metodę, stosowaną przez wczorajszych menerów NDecji względem politycznych przeciwników, zastosował teraz do nich samych, siłą wydarł im rządy. Czy utrzyma się przy nich? Czy Stojałowski, nowymi zjednany „argumentami“ przez sfery rządzące, ostatnią secesją NDecji nie dobije? Jakkolwiekbądź, cięży nad tą grupą cała niesławna puścizna moralna demagogji i obłudy, cięży fatalna tradycja metod niemoralnych, fałszów i apostazji. I trzebaby było prof. Grabskiemu wytrzymać ciężkie, ogniowe próby, aby mógł znaleść się na drodze naszej — uczciwej i jasnej. Trzebaby mu było zawrócić przez czyściec niepowodzeń i upokorzeń tam, gdzie się znajdował jako ów „Mazur“, propagujący rewolucyjne podźwignięcie się ojczyzny.

Dziś jednak wzgląd na rzecz publiczną nie pozwala pozostawić steru opozycji w niepewnym ręku Stojałowskich, czy Grabskich. Czas kres położyć szarganiu świętości, bo trzeba, aby święte były. To, co było ojców naszych płomieniem i cierniem, co nam dzisiaj smętkiem i gwiazdą, to niechaj będzie naszem Życiem, naszym bojem. Z rozsypki musi się skupić, spotężnieć, pod czystym sztandarem wystąpić do walki świętej a prawej Demokracja Polska.



WILHELM FELDMAN.

PRZED NOWYM EGZAMINEM DZIEJOWYM.

Czy my jesteśmy jeszcze zdolni do czynu? Od stu kilkudziesięciu, od dwustu blizko lat historya stawia nam to pytanie — ciągle zdajemy przed nią ten egzamin — i bodaj z jednego przedmiotu trudno go nam zdać całkiem dobrze. Od stu kilkudziesięciu, od dwustu przeszło lat, stoimy przed zadaniem dla narodu najważniejszym: wytworzenia takich form życia, któreby umożliwiły zachowanie i rozwój naszej samoistności, oraz uczestniczenie w wielkim procesie tworzenia kultury nowoczesnej w duchu własnego geniuszu narodowego. Zadanie to trudniejsze u nas niż gdziekolwiek, ciążą na nim nie tylko — jak wszędzie — przeżytki przeszłości własnej, lecz także cała brutalna przemoc najazdu. Tymbardziej, zdawałoby się, powinna prężyć się nasza energia wewnętrzna, i wolę swą do życia dokumentować czynami twórczymi; tymbardziej dziać się to powinno w Galicji, gdzie przemoc zewnętrzna stosunkowo najmniej pęta i wstrzymuje energię narodową. Rzeczywistość ukazuje coś przeciwnego. Historja zaboru austryjackiego niesłychanie mało zapisuje czynów, świadczących o samotwórczości społeczeństwa — w rodzaju działalności Towarzystwa Szkoły Ludowej. Natomiast historję naszą robią za nas ciągle inni. Frazesem jest, co mówimy o autonomii: nie chcemy faktycznie autonomii, gdyż nic nie robimy, by ludność krajem rządziła, by mogła sobą rządzić. Natomiast jesteśmy dobrowolnymi centralistami wiedeńskimi, gdyż dobrowolnie punkt ciężkości wszystkich naszych spraw publicznych przenosimy do Wiednia, a w najlepszym razie dyrektywą jest: co na to powie Wiedeń. Przemysł galicyjski Wiedeń zabijał i zabija, teraz Wiedeń ma go stworzyć. Szkolnictwem naszym ludowym, nad którym we frazeologii zawsze się unosi obraz „nauczyciela, co to w roku 1870 dał Niemcom Sedan“, szkolnictwem tym tak zarządzamy, iż olbrzymia część nauczycieli, i to zaiste nienajgorszych, z całej duszy pragnie dostania się pod skrzydła opiekuńcze Wiednia. Dopieroż stosunki polityczno-społeczne! Od pierwszych brzasków idei demokratycznej w kraju, ludzie dalej patrzący nawoływali „Starszyznę narodu“ do wzięcia w swoje ręce sprawy ludowej, do uznania w ludzie obywatela. To było treścią propagandy emisarjuszy Towarzystwa demokratycznego, treścią ruchów

demokratycznych w kraju, jawnych od r. 1846. I „Starszyzna narodu“ nie dokonała ani jednej wielkiej reformy społecznej lub politycznej. Od zniesienia pańszczyzny do reform wyborczych poprzez sprawę „obszarów dworskich“ i ubezpieczeń socjalnych ciągnie się nieprzerwany łańcuch czynności ze strony „Starszyzny“ tamujących, przeszkadzających, zabagniających — łańcuch, który częstokroć silnym czynem przecina Wiedeń. I idzie tak coraz gorzej — w prostym stosunku do coraz bardziej przyspieszonego tempa życia publicznego na świecie i świadomości społecznej w kraju. Rządzące krajem czynniki nie zdają sobie sprawy, że żyjemy w czasie elektryczności i aeroplanów. Wprawdzie Galicya przeżywa jeszcze okres początkowej pary, ale i ona wyszła z wieku bałagulstwa — także politycznego. Dokonanie reformy wyborczej dla całej Austrji wymagało uwzględnienia czynników bardziej skomplikowanych, niż te, jakie panują w Galicji. A przecie politycy, rządzący państwem, w jakieś 50 lat po eksperymencie Napoleona III., w jakieś 30 lat po doświadczeniu Bismarcka, doszli do przekonania, że chcąc lud „przywiązać“ do dynastji i dać mu kompensatę za wymagane odeń ciężary, musi się zasadniczo w państwie uznać zasadę równości praw wyborczych. I Austrja dwoma silnymi rzutami — poprzez fazę przejściową, jaką była piąta kurya — zaprowadziła „cztero-przymiotnikową“ ordynację wyborczą. My nie znamy obliczeń Napoleona i Bismarcka — inny Majestat nam przyświeca, nie ad captandam benevolentiam chcemy wzrostu sił ogółu narodowego. A jakimż rzemiennym dyszlem wlecze się ta sprawa u nas! Jakaż to łaciarska robota, którą od blizko pół wieku zabawia się nasz Sejm! Jakaż stąd góra powstała frazesów, intryg, nieszczerości. Taka góra nie może nic innego, jak tylko mysz zrodzić. A w rezultacie — żywym, dręczącym, bolesnym pozostaje pytanie: jesteśmyż my zdolni do czynu?

* * *

Miniaturą Polski jest — ma być — Galicja, i jej przypada rola laboratorjum historyczno-doświadczalnego w stosunku do wszystkich tych wielkich zagadnień, których rozwiązania życie od nas wymaga. Był też czas, kiedy „oczy całej Polski“ były skierowane na Galicję, ex Galicia lux miała spłynąć na dzielnice pozostałe, stąd przykład narodu samorządnego, przemieniającego ciężary i klątwy przeszłości we wzór postępu, siły i zwycięstwa.

Co Galicja z tym mandatem zrobiła?

Nie o rekryminacje jednak chodzi, i bodajby jak najmniej było do nich powodów. Chodzi o apel do czynu w chwili decydującej — ostatniej, przerastającej swą ważnością wszystkie chwile ustawodawcze, jakie reprezentacja krajowa dotąd miała.

Jak my możemy żądać równych praw politycznych od rządów zaborczych, gdy sami ich nie ustanawiamy? Jak — po pięćdziesięciu latach istnienia sejmu krajowego — możecie mówić, że lud naszych miast i wsi nie zasługuje na zaufanie, gdy za dojrzały przed kilkudziesięciu laty uznali go Niemcy? Jak możemy domagać się cztero-przymiotnikowej reformy wyborczej w Prusiech, gdy nie chcecie jej tu, gdzie sami jesteśmy gospodarzami? Jak możemy protestować przeciw pewnym wyłącznościom i przywilejom na Litwie i Rusi, gdy wy zaprowadzacie je w Galicji?

Docieramy do punktu decydującego: do kwestji ruskiej.

Czasy ostatnie uprzytomniły ją nam w całej powadze znaczenia sprawy, politycznie najważniejszej dla narodu, a przeżywającej moment swój przełomowy.

Gdy cała Polska święciła uroczystość grunwaldzką, wszyscy czuli, że nie fakt zwycięstwa orężnego jest treścią owej rocznicy. Grunwald umożliwił Unię lubelską, i duch Unii unosił się nad pomnikiem, ustawionym w Krakowie, nad przemówieniami i myślami święta narodowego. A równocześnie kto ma uszy ku słuchaniu, musiał wtedy ze strony Rusinów i Litwinów usłyszeć stanowczy, ze Lwowa przeraźliwy, z Wilna spokojniejszy, ale zawsze zdecydowany protest.

I tu punkt węzłowy naszej przyszłości politycznej.

Robiąc reformę wyborczą w Galicji, tworzymy projekcję naszego współżycia z Rusią i Litwą. Na tym obszarze ziemi, który w naszych pojęciach jest i powinien być częścią federacyjnej Rzeczypospolitej, normujemy stosunki panowania, normujemy stosunek jednego składnika tego kraju do drugiego.

Normujemy przemocą, uchwałą większości, czy wznawiamy Unję: unję jeśli nie wolnych z wolnymi, to równych z równymi?

Dążymy do federacji z drugim narodem, czy do bezwzględnego zmajoryzowania go?

Wiem jak trudno dzisiaj mówić spokojnie o kwestji ruskiej i jak mało wśród Rusinów jednostek, z którymi możnaby o tej sprawie spokojnie mówić.

Cóż się dzieje? Rusini prowadzą politykę ugodową z Wiedniem przeciw nam. Czyż to niemożliwe, by ugodę zawierali z nami? U krańca naszych celów stoi ideał, który więcej ma styczności z ich ideałem, niż z wiedeńskim. A jeśli oni nie mają wzroku tak wyćwiczonego, by dalekie objąć widnokręgi, my go mieć powinniśmy. My powinniśmy wiedzieć, czym byłaby dla caratu ściana nowej narodowości, ciągnąca się od Litwy do Morza Czarnego. Oznacza ona wyparcie Rosji z zachodu, zamknięcie jej tam gdzie naturalne jej miejsce: w granicach etnograficznych. Kwestja to czasu — niezbyt długiego, skoro uwzględnimy, z jaką szybkością rosła i organizowała się świadomość Rusinów w Galicji. Reforma wyborcza może otworzyć nowy okres w stosunkach polsko-ruskich. Może utorować drogę Unji nowej — unji dwóch narodów. W miejsce czcigodnych, ale tylko historyczną wartość posiadających papierów, w miejsce dwóch armji, pochłaniających najlepsze siły swoich społeczeństw na cele nieproduktywne wojny w czasie pokoju, może postawić dwa narody żywe, jednoczące się przeciw wspólnemu wrogowi. Idei takiej nie mogła wytworzyć reprezentacja, oparta na warstwie uprzywilejowanej, mająca na oku interes klasowy, kolidujący z interesami większości ruskiej, małorolnej. Natomiast jest miejsce dla takiej idei wśród reprezentacji prawdziwie demokratycznej, opartej na zasadzie równości i proporcjonalności. Z taką myślą, bez małostkowości podjęte dzieło reformy, może istotnie być najwyższym czynem historycznym, jakiego dokonały u nas pokolenia.

* * *

Akt ustawodawczy jest czynem szczególnego rodzaju. Niektórzy chcą w nim widzieć tylko ter-

mometr, wstawiony do wiecznie płynnej fali życia, które samo ze swoich głębin niesie instytucje i fakta, zapewniające nasze bytowanie. Zamiast więc tracić czas na ów aparat polityczny, zwany parlamentaryzmem i prawodawstwem, lepiej tworzyć samo życie, formy jego coraz to nowsze i doskonalsze — instytucje przyszłości.

Czy tak jest w istocie?

Czy akt prawodawczy rzeczywiście stwierdza tylko i ustala to, co jest, co życie już wytworzyło, a obecnie domaga się jedynie sankcji prawnej? Twierdzić coś podobnego oznaczałoby rezygnować zupełnie z świadomej i celowej twórczości, z świadomej, celowej woli zbiorowej. I w tym ogromne znaczenie parlamentaryzmu, a dla nas: ogromne znaczenie równości praw wyborczych wobec Sejmu.

Nikt nie będzie uważał parlamentu, czy sejmu, za mózg narodowy, ale zważmy, że on jedyny może być regulatorem procesów społecznych, dokonywających się zwrotowo, na mocy zwalczających się wzajem egoizmów jednostkowych, stanowych, klasowych; że walki te, prowadzone codziennie we formie najbardziej brutalnej i morderczej, w przedstawicielstwie narodowem zyskują wyraz szlachetniejszy (o ile on nie brzmi... po austryacku), częstokroć — symboliczny już tylko, uduchowiony; że reprezentacja ta, o ile jest wypadkową sił życiowych, z natury swojej szuka wykładnika i mianownika wspólnego: dąży — do czego chaos zwrotowy codzienności nigdy nie zmierza — do stania się, przynajmniej w najważniejszych momentach — dyrektywą woli zbiorowej. A czy ów proces stawania się woli zbiorowej, sama tendencja i etapy tej woli, nie są najpiękniejszą — instytucją przyszłości?

O wytworzenie tej woli zbiorowej najwięcej nam chodzi, a gruntownym do niej środkiem — wytwarzanie i uświadamianie woli pojedynczej obywateli i uznanie jednoprawności jej — jako woli do życia — wobec prawa publicznego. Wolą jest świat, wolą jest człowiek, na niższych stopniach — nieuświadomioną, ślepą; wydobycie jej i sprzągnięcie z intelektem jest najważniejszym zadaniem, jakie wychowawca — jednostek i społeczeństw — może sobie postawić; zlanie jej dążności zatomizowanych w potężny organ, w wolę zbiorową — jest tryumfem narodów. Parlamentaryzm i związany z nim aparat polityczny — mimo mnóstwa swoich ujemnych stron — jest w tym kierunku potężnym czynnikiem, budzącym samowiedzę i świadomość. Jednostki zamknięte w najciaśniejszym kole bytowania, budzi, uświadamia ich wolę do życia, a bodaj wolę do potęgi; jest to najświętszym prawem każdego, a im mniej ktoś uposażony w środki materjalne, tym więcej ma prawa do tej godnej broni, jaką dzisiaj jest kartka głosowania, tym więcej ma prawo do bronienia najważniejszej swej własności: pracy swojej, bytu swojego. Zarazem nabiera szacunku dla siebie i życia publicznego, z poczuciem prawa przychodzi poczucie obowiązku, z agitacją przychodzi i jakiś cel odległy, ogólniejszy: ideał. Wyrasta człowiek ponad siebie, rozwija i przekuwa w walor ogólny wolę swoją — i na tej drodze powstaje, powoli co prawda i wśród walk, ale z każdym dniem w kształtach wyraźniejszych — najpiękniejsza instytucya przyszłości: wola zbiorowa.

Stąd ogromne znaczenie urządzeń demokratycznych, a przedewszystkiem „czteroprzymiotnikowej", trzeba dodać: i proporcjonalnej ordynacji wyborczej. Musi jej chcieć — kto chce czerpać z nas ludzi woli, kto dąży do wytworzenia u nas silnej, wypróbowanej w walkach, woli zbiorowej, i kto nie chce, aby jedynym adresem tej woli był Wiedeń.



A. STRUG.

MOGIŁKA.



eszcze wczoraj mogli się byli przekraść. — Dziś, o tej porze, byliby już wszyscy w pasie nadgranicznym, gdzie nie podchodził nieprzyjaciel. Całą dobę stracili na błądzeniu, kołowaniu i zawracaniu po bezdrożach. Przedwczoraj młody Lińkiewicz zginął gdzieś w lesie po nocy, a z nim wszystkie mapy. Stary Lińkiewicz drżał o los syna i domagał się, żeby go partja szukała. Szukali go też, a bardziej jeszcze map. O przewodnika bowiem było trudno w okolicy, gdzie chłopi byli szczególniej zajadli na Polaków. Nikomu nie można było zaufać, bo tropili ich nietylko kozacy Chaneńki, ale i chłopi.

Partja zdaleka okrążała wsie, zapadała na dzień po lasach i jarugach, a w nocy posuwała się wciąż ku południu, ku granicy. Tak parli już ostatnim wysiłkiem, a dwa tygodnie minęło od nieszczęsnej potyczki pod Kozyrkami. Jeść nie było co, wódki ani kropli. Po nocy otaczali samotne karczemki lub odosobnione sadyby na polanach leśnych i zabierali wszelką żywność, a ludzi straszyli postronkiem jeżeli pisną przed kimkolwiek bodaj słowo o przemarszu partji. Poczem znikali, uciekając przed kozakami, których cała brygada, rozbita na małe oddziały, ogarnęła wielką

połać kraju i przeszukując wszędy według wskazówek wystraszonej i nieprzychylnej ludności, parła ich bez wytchnienia ku granicy.

Pułkownik wymykał im się systematycznie i uparcie wciąż ku prawemu skrzydłu, chcąc wydostać się po za niezmiernie rozwinięty front obławy i odetchnąć choć przez jeden dzień spokojnie. Ale niepodobna było ukryć przed wszystkim co żyje przechodów sporego oddziału. Pomimo wszelkich manewrów i ostrożności, pomimo rozpuszczenia mylnych informacji przez przypadkowo na otykanych ludzi — zawsze ktoś ich tam dostrzegał i kozacy zmieniali kierunek pościgu — zachodzili, okrążali i partja musiała cofać się, zmieniać plan, kołować, błądzić i z konieczności posuwać się w fatalnym kierunku do fatalnego miejsca, gdzie na dwie mile od granicy rozstawione były trzy bataljony piechoty, działające w porozumieniu z brygadą kozacką.

Była późna jesień, po nocach zdarzały się już przymrozki. Liść leciał gęsto z drzew, odsłaniając coraz okropniej głębie leśne i kępy zarośli, poza którymi przemykała się partja, lub gdzie zapadała w cichości, nie paląc ognia w ciągu dnia.

Pułkownik musiał za każdym razem długo prosić i długo tłómaczyć na rozum, zanim ktokolwiek zgodził się pójść na zwiady. Rozkaz nie znaczył już nic. Nic, jeno strach i okropne położenie trzymały jeszcze w kupie tę garstkę ludzi.

Stopniał w ciągu dwóch tygodni oddział, który wyszedł cało z klęski. Na pierwszym postoju, po pierwszym obrachunku było jeszcze przeszło trzystu ludzi — sto koni — piętnaście furgonów — były zapasy amunicji — były pieniądze — i było mocne postanowienie obejść nieprzyjaciela, bronić się w razie przypadkowego spotkania i dążyć do wielkiej partji Wykrota, która nie brała udziału w walce i manewrowała wzdłuż granicy, mając w odwodzie pas neutralny. Po drodze znikali ludzie i zmieniały się zamiary dowódzcy. Kozacy następowali zbliska i w wielkich masach. Porzucono tedy furgony, zabrawszy tylko konie i co się dało z bagażów i oddział opuścił drogi bite i gościńce i wparł się w lasy i bezdroża, które chroniły od masowego ataku konnicy.

Ludzie ginęli, błądząc po nocach, patrole wysyłane na zwiady wracały rzadko. W ciągu pierwszego tygodnia po rozbiciu oderwały się od całości dwie kupy wbrew zakazowi pułkownika i poszły próbować szczęścia na własną rękę. Porzucano na drodze chorych, przemęczonych — zostawiano ich na gościńcu lub pod jaką siedzibą ludzką. Oddział nikł w oczach i pewnego dnia z groźnej partji bojowej stał się bezładną kupą uciekinierów — myślących tylko o własnym ocaleniu.

Tego ostatniego dnia było ich w kupie tylko dwudziestu trzech.

O ledwie szarzejącym brzasku wywlekli się z zarośli przemarznięci, niewyspani i głodni. Pułkownik prowadził ich przez mokre, puste łąki, kierując się w tej nieznajomej okolicy według znikających już gwiazd. Oddział brną po kolana w torfowiskach, zmierzając ku dalekiemu pasmu lasów, które miały być im osłoną w dalszym marszu.

— Prędzej! Dalej tam! Nie zostawać! — wołał co chwila pułkownik, nie odwracając się poza siebie i brnął po łące ze sztucerem na ramieniu i z workiem na plecach, jak szeregowiec. Przed paru dniami oddał swego konia pod bagaże, a wczoraj szkapa padła właśnie w najgorszej chwili, w złym, odsłoniętym miejscu, gdzie lada moment mogły ich dostrzedz podjazdy kozackie.

Nie było nawet czasu wykrajać nieco padliny dla zgłodniałych ludzi. Był to ostatni koń oddziału.

Pułkownik rozważał wszelkie możliwości, pracował głową nad utrzymaniem właściwego kierunku i przeklinał przygody ostatniego dnia, stratę map, zawieruszenie się kilku najdzielniejszych ludzi i z nimi ostatnich paru tysięcy złotych. Do wczoraj wierzył jeszcze, że garstkę swoją doprowadzi szczęśliwie do granicy — teraz wiedział, że chyba cudem uda mu się uniknąć spotkania, a najprawdopodobniej — że o tej porze już się znajduje wewnątrz pętli, która się będzie ściągała, zaciskała...

— Wypadnie to chyba tak pod sam wieczór... myślał.

Pułkownik nie rozpaczał, ale był zły. Robił wszystko, co był powinien i co było w mocy ludzkiej, a nawet ponadto. Reszta nie należy do niego. Zginie on i wyginą co do nogi jego ludzie. — Będzie to tak — pod wieczór... myślał sobie. Ale pułkownik wiedział, że od tego jest wojna, żeby wojować — czyli niedospać, niedojeść, deptać każdego, póki się ma siłę, ukrywać się i przekradać, kiedy się jest słabym, a przedewszystkiem o każdej porze być gotowym, żeby zabijać i ginąć.

Pułkownik był żołnierzem. Z porucznika w wojsku rosyjskiem, awansował na pułkownika i miewał pod swymi rozkazami i po pięciuset ludzi, ale marzył zawsze, żeby mieć bodaj jedną rotę prawdziwych żołnierzy, którzy umieją broń trzymać i ślepo słuchają, jak wrzaśnie naczelnik. Z jedną taką rotą pod Kozyrkami przebiłby się przez wszystkich kozaków i poszedłby w głąb kraju próbować jeszcze szczęścia. Z pełną nienawiści zazdrością patrzył wówczas zblizka na sprawne i pewne ruchy oddziałów nieprzyjacielskich. Ochrypł od krzyku i naganiania swoich ludzi — widział ich męstwo, dobre chęci i niepoprawne, okropne niedołęstwo żołnierzy, tudzież samowolę i wieczne szlacheckie warcholstwo podwładnych „oficerów“ — nawet w najgorszej chwili, na polu bitwy. Gdyby nie ono — o tej porze partja trzystu ludzi byłaby już w głębi kraju, rządziłaby się, jak u siebie, ludzie byliby najedzeni i pewni siebie — a gdyby przyszło do spotkania, biliby się, ginęliby w walce — gdzie przecież mogło być jeszcze i zwycięstwo. A teraz...

— Dalej tam! Nie zostawać! Wyciągaj nogi jeden z drugim! Byle do lasu!

(C. d. n.)



Dr. A. LISIEWICZ.

NASZ SEJM.

W chwili, gdy oczy naszego społeczeństwa obrócone są na stolicę kraju, w której obradujący Sejm galicyjski ma rozstrzygnąć, lub może przewlec czy pogrzebać, najdonioślejszą dziś sprawę polityczną, sprawę reformy wyborczej, nie od rzeczy będzie wskrzesić w powszechnej pamięci przeszłość tego sejmu i jego polityczne tradycje. Potrzebie tej uczyni zadość szkic niniejszy.

I

Sto lat już dobiega od chwili, kiedy wypadki polityczne, które zamknęły okres epopei napoleońskiej, sprowadziły dla narodu polskiego fikcję nowoczesnego istnienia wprawdzie w podziałach, ale z wyraźnym uznaniem pewnych praw odrębnych i pod osłoną powagi traktatu międzynarodowego. Któż dzisiaj z pewnym rozrzewnieniem nie wspomina tej chwili, w której powstała miniaturowa Rzeczpospolita krakowska, a o miedzę — chociaż w ciasnych ramach, poczęło swe istnienie Królestwo kongresowe, mające swój skarb, swoje wojsko i własny sejm w Warszawie?

Urok istnienia tych organizacji po świeżych tryumfach oręża polskiego na polach nieśmiertelnych zwycięstw napoleońskich, tylokrotnie odniesionych, był niewątpliwie niepospolity. W tajni duszy każdego prawego Polaka, nie zgasła iskra świętego ognia.

W pamięci ówczesnych wielkorządców Galicji tkwił jeszcze silnie los Lwowa w niedawnym roku 1809, kiedy to tak pospiesznie nastąpiła wymiana godeł zdobiących gmachy urzędowe i radosne witanie ułanów polskich, wkraczających do stolicy...

To też gubernator hr. Goess zalecał gwałtownie nadanie pospieszne konstytucji stanowej, któraby dla Galicji zastąpiła reprezentację narodową i odwróciła ku Wiedniowi oczy zahypnotyzowane urokiem sejmu warszawskiego... Stało się. Feralna wprawdzie trzynastka jest datą aktu konstytucyjnego, (13. kwietnia 1817) co może wedle wierzeń ludowych stanowiło zły prognostyk dla nowego sejmu, ale niemniej powstała istotnie nowa reprezentacja w tej części Rzeczypospolitej; owa nikła roślina, znana w historji, jako galicyjski sejm stanowy.

Wznowienie dawno zapomnianego statutu józefińskiego i bezpośrednie wprowadzenie w życie sejmu stanowego, który przetrwał trzy dziesiątki lat, stanowi nowe ogniwo rozwoju stosunków między rządem wiedeńskim, a Polakami, wcielonymi do monarchji austryjackiej. „Ojcowska opieka i łaska oraz szczególne zaufanie do wierności i uległości mieszkańców Galicji i Bukowiny (podówczas wcielonej do Galicji)“ — jak się wyraża patent cesarski, dały nam wówczas reprezentację która wedle pojęć ówczesnego rządu wiedeńskiego była aktem niepospolitego dobrodziejstwa, a która na długie dziesiątki lat miała być jedyną areną życia publicznego, jedyną skrępowaną niewolniczymi przepisami mównicą obywatelską. Do oceny granic tego dobrodziejstwa nie warto powracać. Historja wypowiedziała już dawno swój sąd o tej epoce.

W chwili, w której zbiera się u nas sejm galicyjski, oparty bądź co bądź na zasadach nowoczesnego konstytucjonalizmu, a przedewszystkiem na wolności słowa i możności skutecznej walki o zdobycie nowych praw, warto jednak sięgnąć pamięcią do epoki bezwzględnego absolutyzmu i przywołać przed oczy choćby kilka rysów, stanowiących charakterystykę ówczesnej reprezentacji kraju.

Dobrodziejstwo ówczesne nie potrzebowało się silić na pozory, aby stwarzać coś podobnego do dzisiejszej fikcji reprezentacji ogółu mieszkańców kraju. Przed wiekiem zrozumiałym było zupełnie brzmienie naczelnego paragrafu aktu konstytucyjnego: „Ustanawiamy dla naszych Królestw Galicji i Lodomerji cztery stany, mianowicie stan magnatów, stan rycerski i miasta królewskie“.

Na ówczesne pojęcia nawet interesującą mogła być i dla gorętszych stwarzała pewne nadzieje wzmianka w statucie: „pomiędzy miastami na razie stolica Lwów przedstawia stan czwarty, dopóki nie uznamy się spowodowanymi przyznać prawa stanowe większej liczbie miast królewskich“. A więc myślano nawet u góry o możliwości rozszerzenia konstytucji stanowej w kierunku tak liberalnym, tak się zdawało z treści owej wzmianki, naturalnie ułudnej i jak się potem pokazało, całkiem nieszczerej.

Ale któż tam w pierwszych chwilach istnienia sejmu stanowego roztrząsał postanowienia statutu krytycznie i zastanawiał się nad szczerością zapowiedzi, — sam fakt stworzenia sejmu stanowego wystarczał do obudzenia różnorodnych nadziei.

Nie bez znaczenia zresztą dla wielu bezpośrednio interesowanych było postanowienie statutu, którem na znak szczególnej łaski monarszej przyznano stanom uniformy stanowe w kolorach herbu krajowego. Osobne postanowienie cesarskie orzekło wkrótce, że mundur galowy ma być szkarłatnego koloru z niebieskimi wyłogami, złotem haftowanymi i noszony być może tak niemieckim, jakoteż i polskim krojem.

Może ten polski krój i stworzone równocześnie dygnitarstwa krajowe o wspaniałym brzmieniu, jak: najwyższy marszałek koronny, arcystolnik, najwyższy sokolnik koronny, strażnik sreber koronnych itp., łechtały próżność a może budziły różnorodne nadzieje u tych, którzy już w parę lat potem w adresie do tronu biadali nad tym, że obywatele galicyjscy zostają w największej odległości od stolicy i nie mają szczęścia przez piastowanie urzędów stać bliżej tronu?

Pompa niesłychana, rozwinięta przy instalacji sejmu stanowego, bicie we wszystkie dzwony, uroczysty pochód do katedry wśród szpaleru wojsk, salwy karabinowe i działowe podczas uroczystości, gubernialny obiad — wszystko to nadawało reprezentacji stanowej w obec ogółu pozory instytucji pierwszorzędnej, niezmiernie doniosłej dla państwa i kraju.

Niestety forma zewnętrzna zupełnie nie odpowiadała treści rzeczy samej. Komisarze wyznaczeni do sejmu po odbyciu pomp instalacyjnych mieli „wierne i posłuszne Stany uwiadomić o królewskich postulatach“ a monarcha nie wątpił, że owe wierne i posłuszne stany dadzą chętnie swoje oświadczenie, godne ich wypróbowanej gorliwości... i że sejm wcześnie ukończą, polecał też z góry zapewnić stany, że ich uległość najuniżeńszą zawsze uznawać będzie z całą łaską i przychylnością.

Dla ułatwienia tej uległości inauguracyjny reskrypt cesarski postanawiał, że „na środkowej i najwyższej części miejsca na odprawienie sejmu obranego postawi się tron, na którym Nasz portret pod baldachimem ustawić należy“ i że co do porządku obrad w sejmie prezes, którym był gubernator kraju, wyda stosowne zarządzenia. Gdyby zaś któryś z członków sejmu jakiś przedmiot samoistnie chciał wnieść pod obrady lub przedstawienie uczynić (dodawał reskrypt) „powinien poprzednio propozycję swoją prezesowi przyzwoicie oświadczyć i jego zezwolenie na to pozyskać“.

Taki to sejm, w którym wierne i posłuszne stany miały z uległością najuniżeńszą przyjmować postulaty podatkowe a bez zezwolenia gubernatora nie wolno było z żadną myślą własną wystąpić — był przed wiekiem naszym sejmem, naszą reprezentacją kraju.



O BUDOWĘ DRÓG WODNYCH.

Dnia 11 czerwca 1901 r. zagwarantowała ustawa, przez parlament uchwalona, sankcjonowana przez cesarza, krajom północnym monarchii, dźwigającym na swych barkach przeszło trzy ćwierci ciężarów państwowych, słuszną rekompensatę za wielkie inwestycje na rzecz prowincji południowych, za koleje alpejskie: potężny system kanałów przerznąć miał Austrję, Czechy, Morawy, Śląsk i Galicję, połączyć Dunaj z Wełtawą i Odrą, Odrę z Wisłą, Wisłę z Dniestrem, przy jednoczesnem ustaleniu spławności tych rzek przez wielkie prace regulacyjne. Rok 1904 przynieść miał rozpoczęcie prac regulacyjnych i budowy kanału Dunaj-Odra-Wisła; rok 1912 rozpoczęcie kanału Wisła-Dniestr. Minął termin rozpoczęcia wielkiego dzieła; poza pracami regulacyjnymi w Czechach nic nie zostało zaczęte. Rok 1905 przyniósł olbrzymie wydatki na militaryzm, zwichnięcie stanowcze równowagi budżetowej; odtąd przeciwstawił rząd centralny powadze ustawy o drogach wodnych celowe, dobrze obliczone kunktatorstwo. Poseł Daszyński uderzył na rząd nagłym wnioskiem: parlament kurjalny na wniosek Wojciecha Dzieduszyckiego odpowiedział uchwaleniem rządowi zaufania. Lecz otwierały się zwolna oczy i najbardziej ufnym; odmienił się zresztą parlament. W r. 1908 poseł socjalistyczny powrócił do ataku: tym razem dwie trzecie głosów padło za wnioskiem nagłym, wzywającym rząd do wykonania ustawy i naznaczającym mu termin: 1 kwietnia r. 1909.

Lecz rok 1909 był rokiem wojennego naprężenia i olbrzymiej demonstracji zbrojnej; o rozpoczęciu budowy kanałów rząd nie pomyślał zgoła. Pozostało naprężenie stosunków między-państwowych wzmożenie się partji wojennej, gorączka bojowa w austro-węgierskiej armji: więc znowu zwróciła się armja do państwa po nowe setki miljonów, więc znowu postanowił rząd wiedeński pozbyć się finansowych kłopotów, związanych z budową kanałów. Stanowisko parlamentu uniemożliwiało dłuższą zwłokę, zabrali się więc ministrowie autryjaccy do rewizji samej istoty sprawy, pracując niezmordowanie nad zdyskredytowaniem obowiązującej ustawy, nad doprowadzeniem projektu, przyjętego przez ich poprzedników, ad absurdum. Na sukurs ministrom przybiegła usłużnie Izba Panów. Znane są perypetje świeżego na kanały zamachu, znana skwapliwość, z jaką wielu polityków polskich przyjęło myśl o przehandlowaniu ustawy, z której wykonaniem związane jest odrodzenie się gospodarcze Galicji. Szczęściem przeważyła w Kole Polskiem świadomość olbrzymiej wagi samej rzeczy, poczucie odpowiedzialności przed krajem. Nie ustały jednak głosy oportunistyczne, czy to wymierzone w ogólności przeciw obstawaniu przy kanałach (jak głos posła Stapińskiego na zjeździe Rady Naczelnej jego stronnictwa), czy też przemawiające za zredukowaniem przedsięwzięcia do najskromniejszych rozmiarów (ankieta „Słowa Polskiego“).

Otrzeźwiająco podziałał na opinię głos poważnego znawcy całej sprawy we wszystkich jej szczegółach, człowieka z natury rzeczy najtrzeźwiej zdolnego ocenić praktyczną stronę kwestji, dyrektora krajowego biura meljoracyjnego, posła Andrzeja Kędziora. Za jego zdaniem poszedł lwowski zjazd techników, obstając w energicznej uchwale przy ustawie z r. 1901.

Na tym stanowisku skonsolidować się winna cała opinja polska, nie kompromitując swego dobrego prawa, swego „uprawnionego dążenia“, propagandą kompromisu i frymarczeniem rzeczą, którą winniśmy już traktować, jako nasze dobro publiczne i niezaprzeczalną własność.

W poczuciu całej doniosłości tej ważnej i aktualnej sprawy udaliśmy się do posła Kędziora z prośbą o udzielenie nam kilku wyjaśnień w kwestji, tak bardzo będącej dziś na czasie wobec zebrania się sejmu.

— Poglądy moje — brzmiała odpowiedź — wypowiedziałem w „Kurjerze Lwowskim“ i w broszurze „W sprawie budowy dróg wodnych“; nie odstąpiłem od nich w niczym.

— Czy rokowania z Austrją dolną, z Morawami i Śląskiem nie zmieniły dotąd położenia?

— Bynajmniej. Wiadomem było i przedtem, że Austrja chce mostów na Dunaju w zamian za kanały. Zmiana nastąpiła raczej na dobre przez obstawanie Moraw przy budowie kanałów.

— Czy poniechanie kanału Dunaj-Odra odbiłoby się ujemnie na znaczeniu dróg wodnych dla Galicji?

— Nie wiele. Główny eksport Galicji, t. j. drzewo, idzie do Prus, nie do Wiednia i zyska głównie na tanim przewozie wewnętrznym kanałem galicyjskim; o połączenie go z Odrą Niemcy postarają się sami. Nie możemy natomiast poprzestawać pod żadnym warunkiem na samym kanale Wisła-Dniestr, musi on bowiem koniecznie przerznąć całe nasze zagłębie węglowe od Krakowa do granicy śląskiej.

— Pan poseł podziela może obawy „Słowa Polskiego“, by tani przewóz drogą wodną wytworów przemysłu niemiecko-austryjackiego nie zaszkodził pierwocinom naszego przemysłu krajowego?

— Bynajmniej. Do spławiania drogą wodną nadają się przecież towary, znoszące długi transport, nie przedstawiające wysokiej wartości, oraz te, których przewóz kolejowy dla ich znacznej objętości, lub ciężaru, w stosunku do ich wartości zbyt wielkie pociąga koszta. Będzie to więc przedewszystkim węgiel; dalej drzewo, ropa, słoma; kamień, jak szuter wiślany, granit tatrzański, piaskowce karpackie; wreszcie wyroby z gliny, glinka ogniotrwała itp. Jest to w swoim rodzaju skandal, że zmuszeni dzisiaj jesteśmy, mając pod bokiem nasze turnie tatrzańskie, sprowadzać bloki granitu na pomniki naszych wieszczów i bohaterów z Alp południowych, czy z gór skandynawskich. Co do przemysłu krajowego, to gdyby nawet obca konkurencja dzięki taniości przewozu stała się silniejszą, ujemny ten wpływ będzie znikomy wobec nieobliczalnych korzyści. Taniość węgla i ropy umożliwi rozwinięcie się fabrycznej produkcji przemysłowej na całym obszarze kraju. Zużytkowane zostaną ogromne skarby zagłębia krakowskiego, górujące niemal 12 razy bogactwem swych pokładów węglowych nad Zagłębiem ostrawsko-karwińskim, słynnym przecież ogniskiem przemysłowym. Uboga ludność włościańska, nie mieszcząca się na roli i zmuszona dziś szukać pracy na obczyźnie, znajdzie w przemyśle krajowym utrzymanie lepsze, niż miała wprzód na roli. Słowem odrodzenie gospodarcze i kulturalne kraju wiąże się ze sprawą kanałów.

— A więc szerzony przez wrogów ustawy pogląd, że drogi wodne straciły swe znaczenie wobec nowoczesnego rozwoju środków komunikacyjnych, jest zgoła bezzasadny?

— Najzupełniej. Miał kiedyś naprzykład podobne wątpliwości eksc. Jędrzejowicz, pokąd baron Springer, jeden z największych przemysłowców francuskich, właściciel mnóstwa fabryk, nie wyjaśnił mu, że byt tych zakładów jest całkowicie zależny od istnienia dróg wodnych. Mamy i bliższy przykład, który cytuję w mej broszurze: handlarza z Drohobycza, eksportującego deszczułki dębowe do Paryża. Wysyłał on swój towar koleją do Koźla na Śląsku, dokąd jest skanalizowana Odra, dalej zaś drogą wodną przez Szczecin i dookoła przez morze. Fakt ten jest dostateczną ilustracją całej niedorzeczności zarzutów, jakoby przeładowywanie towarów z wagonów na statki miało obracać w niwecz korzyści drogi wodnej. Zapewne, Wiedeń może sprowadzać koleją węgiel z odległej o 268 km. Ostrawy. Inaczej wschodnie kresy podłużnie wyciągniętej Galicji, oddalone od Dziedzic o przestrzeń ogromną sześciuset kilkudziesięciu kilometrów.

— A pogląd p. posła na myśl rzuconą w „Słowie Polskiem“ przez inż. Machalskiego: zmniejszenia kosztów budowy przez przystosowanie naszych wewnętrznych kanałów do trzykrotnie zmniejszonej pojemności statków, z 600 tonn na 200?

— Pomysł chybiony. Kanały, obliczone na statki o pojemności 200 tonn budowano wprawdzie we Francyi, ale sto i więcej lat temu. Kanały niemieckie są obliczone na pojemność 400 tonn; obecnie przystąpiono do ich przebudowy i pogłębienia zgodnie z projektem austryjackim. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że im pojemność statków większa, tem mniejsze koszta przewozu, tem silniejszy wpływ drogi wodnej na gospodarstwo krajowe.

— Pan poseł stoi zatem bezwzględnie na stanowisku ustawy z r. 1901 o ile dotyczy ona Galicji?

— Tak jest.

— Czy daje się pomyśleć jakaś rekompensata za kanały?

— Dla nas nie może być żadnej. Nigdy jeszcze od czasu aneksji Galicji nie było sprawy tak doniosłej dla przyszłości materjalnej kraju. Znacie panowie mój pogląd na doniosłość gospodarczą kanałów; wystarczy jednak stwierdzić, że po raz pierwszy otrzymać mamy ogromną, przeszło 300-miljonową inwestycję, której pod żadnym innym pozorem nie dostaniemy; że teraz mamy nakoniec otrzymać fundusze na regulację rzek, na które oczekujemy napróżno od wielkiej powodzi w r. 1885. Regulacja ta jest traktowana w związku z budową kanałów i zależna w zupełności od tej budowy. Powtarzam: niema kraju, dla któregoby kanały takie miały znaczenie, jak dla Galicji; niema zarazem kraju, jak przyznało ministerstwo handlu w r. 1897, w którymby wielkie roboty kanałowe dały się wykonać łatwiej i taniej.

— Czy sejm będzie miał sposobność do wypowiedzenia się?

— Oczywiście. Przygotowujemy właśnie obszerny referat.

— A Koło Polskie? Czy są szanse skutecznej obrony naszej sprawy we Wiedniu?

— Co Koło Polskie zrobi, tego przewidzieć przecież nie mogę. Wiem tyle, że od stanowiska Koła Polskiego zależy istnienie gabinetu. Za ministerjum Gautscha umiało Koło Polskie obalić projekt, krzywdzący Galicję przy podziale mandatów. Sprawa fakultetu włoskiego rozbiła się niedawno o nieobecność posła Kolischera. Losy dróg wodnych zależą więc od nas samych.

*

Było to w roku 1800. Szalała wojna pomiędzy państwem Habsburgów, a rewolucyjną Francją, wojna przewlekła, nieszczęśliwa, rujnująca dla Austrji. Centralizm wiedeński eksploatował bezwzględnie „kraje dziedziczne“ nowszego pochodzenia na korzyść państwa.

Pewien obywatel galicyjski wystąpił wówczas z projektem doprowadzenia do Lwowa spławnego kanału, celem zaopatrywania stolicy kraju w tani opał i budulec; sam podejmował się przeprowadzenia budowy. Gubernator wschodnio-galicyjski hr. Gaisruck zwrócił się do Wiednia w kwestji poparcia rządowego dla owego przedsięwzięcia. W odpowiedzi pisał hr. Mailath, galicyjski kanclerz nadworny: „Jeśli ów patryjota zamierza przeprowadzić budowę kanału lwowskiego nie na koszt skarbowy, ale na koszt towarzystwa, które ma się zawiązać, jeśli uważa wykonanie tego przedsięwzięcia za zupełnie możliwe, a rzeczoznawcy również za takie je uznają, jeśli nadto ów patrjota nie domaga się

żadnych przywilejów i pomocy, któreby mogły być ciężarem dla poddanych lub naruszyć własność prywatną, to można bez wahania sprawę tę zacząć, jeśli zaś warunki przedsięwzięcia są takie, że zasługuje ono na poparcie Najjaśniejszego Pana, to nie omieszka się zalecić tego interesu jego szczególniejszej opiece i łasce najwyższej...“ Takim był stosunek Wiednia do tego poniechanego i zapomnianego projektu budowy drogi wodnej z końcem XVIII w.

Odmieniły się czasy, nastała podobno era parlamentarna; lecz duch dawnych ministrów cesarskich z doby absolutyzmu tuła się jeszcze w starym gmachu na Judenplatz i baron Bienerth radby powtórzyć słowa hrabiego Mailatha — budujcie, byle nie na koszt skarbowy.

Dzisiejsze pogotowie wojenne, to prawda, wysusza skarb, jak wówczas wysuszała go wojna. Podobno jednak nie traktuje się dziś już ludu, jako »*taillable et corvéable*« podług woli władzców; podobno uznaje się, że nietylko poddani mają obowiązki względem państwa, ale że państwo ma obowiązki względem swych obywateli. Żądając od ludności niezmiernych sum na „konieczności państwowe“, musi państwo przez jednoczesne energiczne popieranie gospodarczego rozwoju umożliwić ludności udźwignięcie tego brzemienia. Polityka niczym niewynagrodzonej eksploatacyi podatkowej wiedzie państwo ku bankructwu i ruinie. Narzędziem zaś tej polityki stał się, niestety, polski minister skarbu. Nic bowiem fatalniejszego, jak owi ministrowie-Polacy, przez rycerską galanteryę wypłacający się Wiedniowi za jego zaufanie — działaniem na szkodę własnego kraju.

Nie mając skutecznych obrońców w rządzie wiedeńskim, musi polskie społeczeństwo bronić swej sprawy przez nacisk na ów rząd. Są środki i jest chwila po temu. Losy dróg wodnych, jak w ogólności losy Galicji zależą od nas samych.

K.



Z TYGODNIA.

W sprawie Dra Janika. Uwagę wszystkich niezdemoralizowanych żywiołów naszego społeczeństwa zwróciła na się sprawa, niezwykła nawet w stosunkach galicyjskich. Dr. Michał Janik, profesor w szkole realnej, cieszący się tam sympatją kolegów i gorącym przywiązaniem uczniów, znany szeroko i ceniony badacz literatury polskiej, człowiek, cieszący się zaufaniem współobywateli, którzy go wybrali członkiem Rady miasta Lwowa, został naraz oskarżony na podstawie fałszywego donosu o rzekomą obrazę religji; prokuratorja wdrożyła przeciw niemu dochodzenie wstępne, przyczym wszystkich jego uczniów wzywano jako świadków, używając formuły „wzywa się p. X., ucznia . . . klasy, by stawił się w sądzie celem złożenia świadectwa przeciwko Michałowi Janikowi w sprawie o obrazę religji...“ Po tych dowodach taktu i zrozumienia zasad pedagogji, c. k. prokuratorja wyrzekła się dochodzenia dla braku jakichkolwiek dowodów winy; żaden uczeń nie złożył fałszywego świadectwa przeciwko swemu profesorowi. Na wynik śledztwa czekała niecierpliwie Rada szkolna; gdy zaś okazało się, że wynik był żaden, nastąpił fakt ohydny: znaleźli się w Radzie miejskiej ludzie, którzy, nienawidząc w drze Janiku człowieka o wyższej kulturze, postępowca, demokratę, wystąpili przeciw niemu z oszczerczym memorjałem, podpisanym następnie przez cały t. zw. klub miejski i ogłoszonym w organie urzędowym magistratu. Skutek był niezwłoczny. Spotwarzonego, negującego wszystkie zarzuty, bez dochodzenia, bez uprzedzenia go nawet, przeniosła go Rada szkolna do zapadłej mieściny, Dębicy, uniemożliwiając mu tym samym wszelką działalność publiczną i spełnianie obowiązków obywatelskich w Radzie miejskiej. Przeniesienie to, rzekomo dokonane „dla dobra służby“, zbyt wyraźnie zmierzało do pozbycia się zdolnego przeciwnika ideowego i skrępowania mu rąk na przyszłość; w sposobie zaś wykonania było czymś zdawna niepraktykowanym. Głos protestu rozległ się w całym kraju. Na wiecu oświatowym w Zakopanem uchwalono rezolucję przeciw postąpieniu Rady szkolnej. W dniu zaś 25. września odbył się we Lwowie tłumny wiec obywatelski, będący manifestacją przeciw poniewieraniu haseł autonomicznych przez podobne procedery, jak ów z drem Janikiem.

Przewodniczył dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński, radni miasta; red. Bronisław Laskownicki wygłosił znakomity referat, wyświetlający należycie całą chorobliwość owej karykaturalnej autonomii Rady szkolnej krajowej, autonomii biurokratów w sprawach, dotyczących przenoszenia i suspendowania nauczycieli. Zabierali głos kolejno: kolega dra Janika prof. Stock, jeden z jego uczniów, nauczyciel Smulikowski, który dorzucił mnóstwo niezwykle jaskrawych obrazków działalności naszych władz „autonomicznych“ w stosunku do nauczycielstwa ludowego, dr. Wyrostek imieniem socjalistów, ak. Żbikowski imieniem młodzieży postępowej, ak. Bourdon imieniem Ligi Wolnej Myśli, posłowie Jampolski i Breiter. Przebieg wiecu był poważny i pełen godności, powstrzymywano się od wszelkiej ostrej polemiki z nieobecnymi przeciwnikami: ale sucho nawet przedstawione fakta wywoływały okrzyki oburzenia wśród słuchaczy. Każdy z nich wyjść musiał z wiecu z tym silnym przeświadczeniem, że trzeba gruntownej odnowy naszych ciał autonomicznych, aby mogły one mieć sympatję społeczeństwa i że nieodzownym warunkiem przebudzenia się w kraju potężnych prądów autonomicznych jest przeobrażenie dzisiejszego sejmu kurjalnego w sejm ludowy.

W sprawie dra Janika zajęło stanowisko Koło lwowskie Tow. Naucz. Szkół Wyższych, protestując przeciw przenoszeniu nauczycieli bez dochodzenia dyscyplinarnego i bez ich zgody. Klub ludowy wniósł w tej kwestji interpelację w sejmie.

O nagłość reformy wyborczej. Tradycyjnym już obyczajem przyszło sejmowi galicyjskiemu, obradującemu od 22. września, rozprawić się z nagłym wnioskiem o wprowadzenie czteroprzymiotnikowej reformy wyborczej. Tym razem, dnia 25. września, zgłosił ów wniosek poseł Lewicki w imieniu Rusinów; zmobilizowani doskonale posłowie konserwatywni w liczbie 33 głosowali przeciw nagłości; za nagłością padło głosów 48, brakło zatem kilkunastu głosów do wymaganej większości kwalifikowanej; bądź co bądź poważna większość posłów zamanifestowała, że w przeciwieństwie do marszałka hr. Badeniego i do konserwatystów uważa sprawę reformy wyborczej za niecierpiącą zwłoki. Cóż, gdy kończy się na manifestacji, braknie zaś stanowczości w dzia-

łaniu, gdy robi się raczej na pokaz dla wyborców, niż dla rzeczy samej, gdy siła poważna, zdolna podyktować sejmowi swoją wolę, stale wywiedziona w pole przez wytrawniejszego przeciwnika, pomaga mu w odgrywaniu krotochwili, przewlekającej „ad infinitum“ prace subkomitetu i komisji. Trzeba potężnego naporu opinji publicznej, by zmusić tych uprzejmych opozycjonistów do istotnej walki. W kraju zaś głucho. Poza licznymi zgromadzeniami robotniczymi, które w obu stolicach kraju wypadły potężnie, brak dotychczas silnych przejawów woli zbiorowej.

Czyżby nowy zwrot? W ostatnim nrze „Przyjaciela ludu“ znajdujemy rzecz zgoła niespodziewaną: p. Stapiński zapowiada, że w razie, gdyby „konserwatyści rozzuchwaleni ważyli się na utrącenie reformy“, to powinnością jego, oraz jego zwolenników, będzie „stanąć do walki bezwzględnej z tymi, co zaślepieni i do reform niezdolni zapory i przeszkody czynią.“ Tłumaczy p. Stapiński, że zmienił postępowanie względem konserwatystów w przekonaniu, iż „wobec wspólnych niebezpieczeństw, jakie zagrażają wielkim i małym rolnikom, obszarnicy uczynią zadość powszechnemu wołaniu chłopów o nowe prawo wyborcze“, że czynił to „ze względu na nasze bardzo trudne położenie narodowe, nawet w państwie austrjackim.“ „Ale — oświadcza uroczyście prezes Polsk. Str. Ludowego — jeżeliby się teraz miało pokazać, że się i sam pomyliłem, to obowiązkiem moim będzie błąd ten naprawić. Jak byłem rzecznikiem pokoju, tak w razie potrzeby będę rzecznikiem walki bezwzględnej“.

Nie uznajemy w zupełności wyjaśnień, danych przez p. Stapińskiego; nie wiemy jeszcze, co mamy sądzić o jego nowym oświadczeniu; notujemy jednak obietnicę powyższą w pamięci i w odpowiedniej chwili zażądamy jej wypełnienia.

Neofita wszechpolski o reformie wyborczej. W ostatnim nrze „Wieńca i Pszczółki“ pisze ksiądz Stojałowski, jak wiadomo jeden dzisiaj z głównych filarów NDecyi:

„Nawet oświeceńsi i politycznie wyrobieni włościanie nie palą się tak do reformy wyborczej... Są pilniejsze sprawy i takie, o których prędkie naprawienie i usunięcie l u d n o ś c i c h o d z i w i ę c e j, niż o r e f o r m ę w y b o r c z ą... Głosowanie r ó w n e j e s t n i e s p r a w i e d l i w e i s z k o d l i w e.“

Tak jeden filar. A drugi, prof. Grabski głosi jednocześnie nieprzejednaną walkę o czteroprzymiotnikowe prawo wybocze. Czas najwyższy, by oba filary zetknęły się ze sobą i porozumiały w tej ważnej sprawie, dotąd między nimi spornej, kto to i kogo nawrócił, NDecja Stojałowskiego, czy Stojałowski NDecję i kto reprezentuje stronnictwo: agitujący za reformą Grabski, czy napadający na nią redaktor „Wieńca i Pszczółki.“ Albowiem NDecja prowadzi „politykę zasad“ („Słowo polskie“, passim).

W sprawie kanałów powzięła krakowska Izba handlowa na wniosek dra Benisa śmiałą i rozumną rezolucję; obstając przy ustawie z r. 1901 uznaje ona budowę kanału od Dunaju do Dniestru „za jedyny środek, aby się wyrwać z błędnego koła nędzy, braku zarobków i zależności od obcej produkcji“, odpiera „w sposób stanowczy“ wszelkie projekty kompensat pieniężnych, zbijając dalej świetnie argumenty, podnoszone przeciw budowie kanałów:

„Izba nie może traktować kanału Wiedeń-Kraków-Dniestr tylko ze stanowiska rentującego się przedsiębiorstwa państwowego; acz i tutaj doświadczenia obcych krajów wykazały, że nowe wielkie arterje komunikacyjne, chociażby się z początku nawet słabo rentowały, z czasem powołują do życia nowe przemysły i nowe źródła transportowe, które po pewnym okresie zapewniają im nawzajem odpowiedni dochód. Z tego też względu wszelkie próby, aby z góry obliczyć rentowność dróg wodnych, są chybione i całkiem dowolne. Wszak już sam fakt budowy, który w cyrkulację gospodarczą i konsumcyjną wprowadza wielkie kwoty, działa ożywczo na przemysłową i rolniczą produkcję. W galicyjskich drogach wodnych widzi Izba wielką inwestycję gospodarczą, tak, jak to miało miejsce przy innych wielkich inwestycjach, z tego właśnie punktu widzenia kosztem państwa budowanych, jak kolej miejska w Wiedniu, port w Tryjeście, koleje alpejskie, regulacje górskich potoków i budowa dróg górskich w Tyrolu, regulacja Dunaju pod Wiedniem, regulacja i kanalizacje rzek w Czechach i t. p. Izba zwraca w końcu uwagę na ogólno-państwowe znaczenie kanału Dniestr-Kraków-Dunaj ze względu na ruch transportowy, oraz kanału Kraków-Wiedeń ze względu na możność uczynienia monarchji niezawisłą od granicy co do opału węglem kamiennym.

Za wykonaniem ustawy z r. 1901 wypowiedział się również Zjazd górników, który w dniach 23—25 września obradował we Lwowie.

Osobliwa katedra i osobliwy uczony. Piszą nam z Krakowa 27. września:

Uniwersytet Jagielloński otrzymał we wrześniu nową katedrę. Powołano z Poznania księdza Kazimierza Z i m m e r m a n n a, aby wykładał w Krakowie na wydziale teologicznym „n a u k i c h r z e ś c i j a ń s k o-s p o ł e c z n e.“

Krakowskie sfery konserwatywno-klerykalne wymyśliły nową naukę. Znaliśmy dotąd stronnictwo chrześcijańsko-społeczne, Luegera, encykliki Leona XIII., prasę chrześc.-społeczną, „Głos narodu“, ale nie przypuszczaliśmy, że te objawy demagogicznej, obłudnej polityki już tak się rozrosły i pogłębiły, że palącą potrzebą dla uniwersytetu Jagiellońskiego stało się stworzenie dobrze płatnej katedry ku ich roztrząsaniu.

Nauki społeczne w obydwu wszechnicach polskich są traktowane gorzej niż po macoszemu; katedry ekonomji na wydziale prawniczym powierzono „uczonym“ wątpliwej kondycji (w Krakowie klerykał Czerkawski, we Lwowie Grabski) mimo, że w Polsce istnieją poważne siły naukowe, dzięki polityce klerykalno-konserwatywnej pozbawione właściwego pola działania. Wydziały filozoficzne zupełnie nie mają katedr nauk społecznych. Socjologja do dziś nie znalazła łaski w oczach potentatów wszechnic galicyjskich: Ludwik Gumplowicz, rwący się do pracy w kraju, musiał marnować siły na wykłady pogardzanego przez się prawa państwowego w Gracu...

Za to kandydaci na wikarych i proboszczów, wychowankowie krakowscy kardynała Puzyny, nie mogli się już obejść bez katedry papki chrześcijańsko-społecznej. I oszczędny rząd bar. Bienerta i Bilińskiego, który nie ma grosza na katedry historji cywilizacji, lub n. p. na katedry pedagogiki (uniwersytety nasze, wychowujące blizko dwa tysiące przyszłych profesorów gimnazjalnych, nie mają zupełnie owych katedr, obywając się przypadkowymi docentami), znalazł odrazu fundusze na z w y c z a j n ą katedrę dla księdza Zimmermanna. Prasa klerykalna z radością podnosi ten fakt jako nowość w uniwersytetach austrjackich, nawet bowiem wpływowi klerykali niemieccy nie wymyślili dotąd takiego dziwoląga naukowego jak „socjologia katolicka.“ Ciekawi jesteśmy, jakie to nowe zasady wygłosi nam ksiądz Zimmermann. Na razie dał się poznać w swej działalności w Poznaniu jako sprytny lecz przeciętny dziennikarz klerykalny (wydawał tam „Ruch chrześcijańsko-społeczny“, pisemko nie wiele inteligientniejsze od tarnowskiego „Dwutyg. katechetyczno-duszpasterskiego“ lub „Dzwonka Częstochowskiego“), jako pamflecista dość nieporadny (pisał popularne paszkwile na socjalizm) i jako zręczny organizator nagonek klerykalnych (sławna przed laty awantura z powodu niewinnego treścią odczytu dr. J. Gulińskiej, wygłoszonego w poznańskiej czytelni dla kobiet, to jeden z objawów jego pracy społecznej).

Istotna przyczyna powołania tego bojującego księdza do Krakowa wkrótce się okaże: klerykałom

krakowskim, wiecznie próbującym zlepić stronnictwo, potrzeba było siły młodej, sprytnej a mogącej się pochełpić pokostem naukowym; agitatora więc i przywódcę opłaci rząd a zareklamuje firma naukowa wszechnicy Jagiellońskiej. Młodzież tutejsza akademicka przygotowuje się do demonstracyjnego wystąpienia z powodu takiego obniżania powagi nauki uniwersyteckiej i lekceważącego traktowania przez rząd najpilniejszych potrzeb kultury polskiej.

Tad. Wrotycz.

Starcia uliczne w Berlinie. Nie dalej, jak w parę tygodni po mowie królewieckiej cesarza Wilhelma, wskrzeszającej tradycje „wielkiego kurfirszta“ i bliższe pod względem czasu „romantyczne“ pomysły Fryderyka Wilhelma IV., natknąć się musiał niemiecki władca z „bożej łaski“ na niemiłe widmo marcowych dni... Wybuchł w Berlinie konflikt między robotnikami, a pracodawcami w wielkich składach węglowych, na tle czysto społecznym. Przyszło do zaburzeń, interweniowała policja i oto ujawniła się naraz zgoła niespodziewana otchłań nienawiści, jaką żywi ku pruskiej policji proletarjat berliński. Kilkuset policjantów stoczyć musiało bitwy całe z dwoma tysiącami robotników, odpowiadających gradem kamieni na cięcia szabel i na salwy; padły strzały rewolwerowe także ze strony tłumu, który uniesiony gniewem burzyć zaczął budynki i demolować fabryki. Tego nie było od lat sześćdziesięciu z górą. Tak było w roku 1848. Toż i tam, obok Polaków-emigrantów, obok garstki literatów, walczyła głównie twarda pięść robotnicza. Minęły odtąd dziesiątki lat policyjnej tresury; duch jej odbił się nawet na praktyce niemieckiej socjalnej demokracji; stary jej wódz, dawny żołnierz powstańczy z r. 1849, Fryderyk Engels, ogłosił w r. 1891 legalną walkę za jedynie wskazaną, za jedyny oręż kartkę wyborczą i wskazanie to aż nazbyt pochopnie wcieliła w czyn partja robotnicza. Już od lat paru hasło oportunizmu (radykalnego, czy rewizjonistycznego, o to mniejsza): „nie dajmy się sprowokować!“ zaczynało przechodzić do lamusa partyjnych pamiątek. I oto przekonał nas robotnik berliński, że więzy lojalizmu z lekkim sercem precz może odrzucić.

W r. 1848, w dniu pogrzebu poległych bojowników berlińskich, nasz Mierosławski przeobrazić chciał manifestację pogrzebową „w poprawną przeciw Hohenzollernom insurekcję“. Nie powiodło się, stwierdził polski rewolucjonista, że w Berlinie dotąd zbywa na rzeczywistym materjale republikańskim „i długo jeszcze zbywać będzie“. Czy zbywa na nim po dziś dzień? „Rewizjonista“ Noske, referując na kongresie magdeburskim socjalnej demokracji sprawę kampanji wyborczej, wyrzekł ważkie słowa: „Przeciw proklamacji absolutyzmu wystawimy przy wyborach nadchodzących hasło republiki“. Odżywa hasło, rzucone przez garstkę rewolucjonistów w r. 1848, hasło Herwegha i Marksa: wielkoniemiecka republika.

A „narzędzie boże“, zatytułowane „potężnym czarnosecińcem“ przez „Russkoje znamia“, myśli nie na żarty o tym, by swą nadprzyrodzoną misję spełniać choćby po trupach buntowników. Na tymże kongresie magdeburskim delegat Limbertz z Essen, najbardziej przemysłowego okręgu Niemiec, odczytał instrukcję o użyciu siły zbrojnej dla stłumienia rewolucji wydaną przez gen. bar. Bissinga, komendanta korpusu. Instrukcja ta jest systematycznym wykładem taktyki — rzezi ulicznej. „Nauczyciele Japończyków“ stają się — uczniami Siemionowców, pogromców Moskwy.



Dedykacja

Dziennikowi Polskiemu z powodu jego następującej notatki z dnia 13-go września:

Nowe pismo. Klub reformy społecznej, zakłada od 1. października b. r. we Lwowie własny organ, tygodnik, którego redaktorem będzie p. G. Daniłowski. Tygodnik będzie wychodzić w formacie lond. „Przedświtu“ i co do tendencyi będzie jego lwowsk. wydaniem. Kłopoty finansowe wziął na swe barki głównie wicepr. Dr. Aschkenazy, za którym stoi grupa sympatyków „wolnej myśli.“

Format, nazwiska wydawców i treść okazowego numeru „Życia“ świadczą, ile nieskłamanej i przesadnej życzliwości tkwi w powyższej notatce. Przy sposobności nadmieniamy, że „Przedświtu“ w Londynie oddawna niema, i ignorancya pod tym względem redaktora Dziennika Polskiego wzbudza podejrzenie, że w fatalne daty 13-go każdego miesiąca z podwójnego jego nazwiska pozostaje jedynie ostatnie.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	mies.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1 50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce na 2 i 3 str. okładki 20 hal., na 4 zewnętrznej 30 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Dwernickiego l. 15.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 5 po południu. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12–1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.
Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.
Redaktor odpowiedzialny Juliusz Łopatka.

Odbito w „Drukarni Polskiej“ — Lwów, ulica Chorążczyzny 31.